

„Kłamstwa Okłamanego”

63 rok; 2 cykl

Gwar ulicy przeszkadzał w myśleniu. On czuł, że jest blisko rozwiązania zagadki. Jego umysł jeszcze nie wiedział jakiej, ale od rana jego umysł zajmował tylko jeden problem. Dziwne uczucie. Jakby był tylko obserwatorem tego co się dzieje w głowie. Zatłoczona ulica pełna rozkrzyczanych kupców przekrzykujących się o to kto ma lepszy towar, rozbawione grupki dzieci ganiających pomiędzy przechodniami. To wszystko do niego ledwo docierało. Jego myśli wirowały coraz szybciej. Nagle wszystko jakby stanęło w miejscu. To było jak błysk. Nagle wszystko wróciło do normalności. Wszystko poza Nim. Znalazł to czego jego umysł szukał. Miał to! Takie wspaniałe uczucie spełnienia ogarnęło jego całe ciało. Ciepło powoli rozlewało się w nim. Jednak zaraz doznał drugiego błysku - przerażenia. Znacznie silniejszego, że to zaraz zniknie. To genialne odkrycie. Zerwał się z ławki, na której siedział i pognał ile sił do swojego mieszkania. Dla postronnych świadków mógł być to komiczny widok. Dorosły mężczyzna, który wirował pomiędzy straganami i co rusz starał się nie zabić przez poślizgnięcie. Co to była by za śmierć... Ledwo dobiegł do swojego domu, chwycił kawałek węgielka z paleniska i zaczął pisać po ścianie. Nie było czasu na szukanie pergaminów, czy kredy. Musiał to mieć. Pisał bardzo szybko i bardzo dużo. Co chwile schylał się po nowy kawałek, bo co chwilę poprzedni się łamał. On nie mógł sobie pozwolić na dłuższą przerwę w pisaniu. Potrzebował tego. Pragnął. Za dużo jednak. Tak wspaniały smak wiedzy, a tak szybko odpływał. Nie wiedział jak długo pisał. Jeden obrót klepsydry? Dwa? Dzień? Może tylko chwilę? A może cały cykl – sto dwadzieścia lat? Spojrzał na ścianę. To było to. To był jego klucz stworzenia. To było dzieło jego życia. To poruszy kiedyś całym światem, jego pojmowaniem, od samych podstaw. On w tym momencie nie wiedział jak poważne to będzie miało konsekwencje. A imię jego było Kar'daal. Odwrócił się i podszedł do stołu. Zrzucił wszystko co znajdowało się na stole. Potrzebował porządku i miejsca do prób. Podszedł do skrzyni na rogu pomieszczenia i wyciągnął kredę, atrament, kilka egzemplarzy grubych i zakurzonych tomów oraz arkusz pergaminu. Już nie musiał się tak spieszyć ponieważ miał to co potrzebował już zapisane na ścianie, teraz musiał to przepisać by jego dzieło przetrwało jak najdłużej. Wrócił i położył te przedmioty na stole, do ręki wziął kredę i narysował na nim duży okrąg. W środku niego nieco mniejszy, odpowiedzialny za ukierunkowywanie energii, potem dorysował pionową kreskę – dla ciała. Następna była kreska pozioma – dla duszy. Potem na szczycie mniejszego okręgu dorysował znaki światła, życia, a po przeciwnych stronach zostawił puste pola, dla ciemności – czyli braku światła i śmierci – braku życia. Uzupełnił pozostałymi wymaganymi znakami, które zależą od przedmiotu jaki został położony na kręgu alchemicznym, w tym przypadku,

jako że położył zwykły kamień (na potrzeby testu), dopisał znaki: ziemia, długowieczność, wytrwałość, ciężar. Spojrzał jeszcze raz na ścianę.

- Powinno się udać – Powiedział na głos. Według jego odkrycia to miało prawo działać. Na największym okręgu dorysował znaki: stworzenia i szkła po przeciwnych stronach. Taki był cel jego eksperymentu – zamienić ten kamień w szkło. Na samym dole okręgów z wielką ostrożnością i wahaniem spróbował narysować ostatni znak, ale nie był w stanie. Tyle emocji na niego działało w tym momencie, jego ręka trzęsła się tak, że nie mógł postawić zwykłej pionowej kreski.

- Weź się w garść! – Krzyknął do siebie. Jeszcze raz spróbował. Nie wyszło idealnie, ale też nie musiało takie być. Jak tylko narysował ostatnią kreskę całość zapłonęła światłem, a kamień świecił najmocniej. Kar'daal kucnął instynktownie, wszystkie jego emocje zostały zastąpione przez dwie: ciekawość i strach. Nagle wszystko tak gwałtownie, jak się zaczęło, tak szybko się skończyło. Kar'daal wstał i spojrzał na swoje dzieło. Kamień wyglądał... o dziwo normalnie. Podniósł go i nawet nie zdążył się mu przyjrzeć, ponieważ ten mały odłamek większej skały poparzył go w rękę. Jeszcze większym zaskoczeniem było to, że kamień w wyniku upadku stłukł się na drobne kawałki z donośnym brzękiem tłuczonego szkła. W tym samym momencie mężczyznę ogarnęło zdziwienie i wielka radość. Udało się. Może kamień i nie wyglądał na szklany, ale taką miał strukturę. Radość nie trwała długo. Usłyszał krzyk na zewnątrz poza swoim domem. Nie zwyczajny krzyk kupców, czy też nawet jakiegoś dziecka. To był krzyk wielu osób. Kar'daal wybiegł z domu i stanął jak wryty. Z twarzy odpłynęła mu cała krew, nogi zrobiły się jak z waty, a on sam, aż usiadł na ziemi w tym samym miejscu, w którym stał. Widok, który ujrzał był przerażający. W miejscu, w którym jeszcze było tętniące życiem miasto teraz... „Arkusze pergaminu w tym miejscu się urywa, wygląda też na lekko przypalony, jakby ktoś specjalnie chciał się pozbyć tego fragmentu.”

11 rok; 3 cykl

Sazic zaczął zwijać koc. Spał pod gołym niebem już trzeci tydzień. On zabije przyczynę, dla której rezygnuje ze snu w gospodach z jeszcze większą chęcią. Nienawidził spać na dworze. Całe dzieciństwo spał w wąskich uliczkach jako żebrak. Codzienne życie było walką o następny dzień. Śmierć czyhała na każdym kroku. Głód. Choroby. Złodziejskie szajki gotowe okraść wszystkich ze wszystkiego. Jego życie tak wyglądało. Dopóki nie poznał Jego. On odmienił życie Sazica. Sazic miał wtedy szesnaście lat. On zjawił się gdy Sazic myślał, że nadszedł jego koniec. Po upadku Uthardu Sazic, by przeżyć dołączył do gangu. Nic wielkiego. Okradali handlarzy, czy bogatszych ludzi, którzy byli na tyle głupi

by zostać w mieście. Tak działali przez rok. Do momentu. A to tylko dlatego, że straż miejska odkryła ich kryjówkę. Głowę gangu i innych wyżej w złodziejskiej hierarchii publicznie powieszono dla przykładu. Pozostałych członków zabito na miejscu, a Sazic i inny chłopak, z którym akurat był „na robocie” – mieli siedzieć na schodach i zbierać datki, jako jedni z niewielu przeżyli. Sazic znów znalazł się na ulicy, gdzie od razu został pobity. Znalazł się po prostu w złym miejscu o złej porze. I tak leżał spuchnięty i obolały w ciemnym zaułku. Wtedy przyszedł On. Uratował go, zaopiekował się nim i dał mu nadzieję. On dał Sazicowi wspaniały dar. Tym darem było Słowo. Wtedy poznał Zakon Słowa. To były wtedy tylko cztery osoby. Teraz należał do Zakonu wyznawców Słowa. Lecz ich bogiem nie było Słowo, ale Ten, Który Zapisał Je Jako Pierwszy. Słowo dawało moc i było obecne w każdej istocie. Samo Słowo nie było też słowem w takim znaczeniu. Było to coś więcej. Słowo było władzą nad istotą rzeczy.

Sazic otrzepał pył ze swoich szat i podniósł bagaż. Nie miał dużo. Trochę suszonego mięsa, bukłak wypełniony winem i zwinięty koc. Pod szatą natomiast trzymał dwa sztylety. Nie jakieś zwykłe stalowe, ale szklane sztylety ze zmienioną istotą szkła. Dzięki temu były tak twarde jak diament i nigdy się nie tępiły. Były tak drogocenne, że można było za nie kupić i utrzymać kilka wiossek. Zostały stworzone w tajemnym rytuale, przez najwyższego pozycją z wyznawców. Zakonnik ruszył przed siebie ku swojej misji. Jego celem był mieszkaniec, rzeźnik imieniem Balhof, miasta Givoran należącego do króla-boga Asar. Osobiście nic do rzeźnika nie miał, ale miał polecenie – zabić. Sazic nie wyobrażał sobie być nieposłusznym.

Ścieżkę znaczyły ślady pozostawione przez zwierzęta, prawdopodobnie sarny. Słońce już całkiem wynurzyło się zza horyzontu oświetlając las ciepłym światłem. Rosa zbierająca się na liściach i trawie błyszczała wszystkimi możliwymi kolorami.

- Piękny widok. - Powiedział Sazic związując sznurki szaty i wychodząc zza krzaka. Powrót na szlak zajął mu cały poranek. Do wioski dotrze przed zmierzchem. Wyciągnął z plecaka zwinięty papier. Rozwinął go po raz kolejny, w liście miał opisane zadanie. Jasno i wyraźnie napisane kogo się pozbyć. Podpisany przez Świadka Słowa. Sazic cieszył się że może służyć komuś tak ważnemu. Osobie będącej prawą ręką boga Kar'daala. Wszyscy, których Sazic znał uważali go za szaleńca, tylko dlatego, że wierzył bardziej i inaczej. I rzekomo często mówił do siebie

- Nie prawda. – Powiedział sadząc długie kroki wzdłuż ścieżki.

Pola. Nieważne gdzie spojrzysz zobaczysz tylko pola. No dobra w jednym kierunku widać las i góry. Poza tym wolna przestrzeń. Dlatego pałacyk jest widoczny z bardzo daleka. Ale nie jest to tajne miejsce dlatego nikomu nie zależało na ukryciu go. Nie wyglądał też

na opuszczony. Bo taki nie był. Mieszkali w nim członkowie zakonu Kard'aala. Nie było ich wielu dlatego ten pałacyk im wystarczał, a nawet każdy miał po kilka pokoi.

W pokoju, pomimo słonecznego dnia, było ciemno. Wszystkie okna zakrywały grube i ciężkie zasłony. Po środku stało, otoczone skórzanymi fotelami, duże biurko oświetlone kilkoma świecami, których żywot dobiegał końca. Przy biurku siedziała postać. Była ubrana w kamizelkę i proste, ale czyste i zadbane spodnie, które skrywały mechaniczną protezę, która miarowo, cicho tykała. Można go było pomylić z pomnikiem gdyby nie ręka, która gorączkowo skrobała piórem po papierze. Nagle otworzyły się duże, ciężkie drzwi przez które wszedł duży osobnik. Duży to mało powiedziane. Nie był gruby. Był bardzo dobrze zbudowany ale niezbyt wysoki więc dawało to taki komiczny obraz.

- Znowu nad papierami siedzisz.- odezwał się ten w drzwiach.

- Warad! Wróciłeś! - odezwał się mężczyzna siedzący za biurkiem. Warad podszedł do fotela i usiadł. Podniósł nogi i oparł je o biurko. Jego towarzysz spojrzął na niego groźnym wzrokiem, ale tamten tylko się roześmiał.

- Oj Clud! Brakowało mi Cię! - powiedział Warad.

- A mi Ciebie ani trochę. - powiedział Clud po czym dodał – Ale dobrze, że już przyjechałeś. Ktoś musi posprzątać. – Na te słowa Warad się skrzywił

– Wybacz, ale po podróży mam wiele rzeczy do załatwienia w swoim zakresie. Przywiozłem też dwa nowe egzemplarze broni do kolekcji – jatagany. Będę musiał cię nauczyć nimi walczyć. – Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Zamiast tego, lepiej powiedz mi co się dzieje u Daleara w Penderooth - Na te słowa mężczyzna w fotelu spoważniał. Ściągnął nogi z biurka. Jego rysy twarzy stężały, a cały jakby postarzał o kilka lat.

- Doszło do rzezi. Hozic, ten samozwańczy król-bóg z wioski na północy, dotarł do władzy i zajął miasto oraz pobliskie wioski, przy czym zabił poprzedni rząd, większość wojska stacjonującego w miejskim garnizonie oraz połowę mieszkańców w tym naszych przyjaciół - Warad zniżył głos i się pochylał - A do tego Dalear nie żyje, nie mogłem mu już pomóc. Znalazłem go po wszystkim martwego, siedzącego dookoła stosu trupów, leżało tam też czterech Ra'ath. Walczył do końca. Przy jego ciele znalazłem ten list zaadresowany do Ciebie, ale nie miałem czasu go należycie pożegnać. - Na te słowa Warad położył na biurku paczkę, a Clud odchylił się na krześle i z sykiem wciągnął powietrze.

- Teraz jest nas tylko czterech, a on był jedynym, który był w stanie współpracować z tym wariatem Sazicem. Psiakrew! - po tych słowach w pokoju zapanowała cisza. Clud wziął do ręki paczkę Daleara. Paczuszka była niewieksza od jego dłoni. Otworzył ją. Na samej górze leżała koperta. Otworzył ją od razu.

„Nie będę pisał nic w stylu: jeżeli to czytasz, to znaczy, że wążam kwiatki od spodu. W paczce znajdziesz notatki zapisane przeze mnie o „Świadku Słowa” przydadzą ci się.

Sazic tylko jego będzie słuchał. O mojej śmierci poinformuj go najpóźniej jak to możliwe. W moim pokoju nie zostawiłem wiele. Trochę notatek w biurku, pieniądze, które zbierałem na wino i już ty wiesz dobrze co, ukryte są za biurkiem. Niech to wszystko dobrze Ci służy. Nie przejmuj się mną. Tak miało być. Twój towarzysz – Dalear”

Clud przeczytał list jeszcze raz, tyle że na głos, tak by Warad też mógł poznać ostatnie skierowane do nich słowa. Zaraz po tym wziął się za czytanie kolejnych listów, jakie znalazł w przesyłce.

Warad spojrzął na papiery w paczce i po chwili rzekł

- Teraz te listy to jedyny sposób by kontrolować Sazica. Obawiam się że nie zostało dużo czasu, kiedy to Sazic odkryje że był manipulowany przez nas. - na to Clud nie przerywając pisania powiedział

- Na razie póki działa to jesteśmy bezpieczni i lepiej skupmy się by nie odkrył tego zbyt wcześnie. Niech na razie dalej wierzy w swojego Świadek Słowa. Dzięki temu niech dalej wypełnia zadania, a kupcy z Uthard niech dalej płacą. Zaraz skończył pisać, pochylił się nad paczką i znalazł odpowiednie notatki – podpis jakim posługiwał się Dalear, jako Świadek Słowa, teraz musiał się go nauczyć. Starannie odrysował podpis i dmuchnął na papier by atrament szybciej wysechł, stwierdził z cichym pomrukiem, że jest zadowolony ze swojej pracy, po czym zwinął list, zapieczętował i wsadził do skórzanej torby. Na twarzy Warada pojawił się grymas. Przeniósł wzrok z torby na Cluda i mówiąc – Mam nadzieję, wiesz, że on Cię zabije gdy się o tym dowie. – po czym od razu odwrócił się na pięcie i wyszedł przez drzwi. Clud tylko spojrzął smutnym wzrokiem na biurko. Ktoś musiał robić brudną robotę, a jeżeli Dalear zginął to on musiał przejąć jego obowiązki. On był głową zakonu. Dalear był jego prawą ręką. Zajmował się organizowaniem misji i sposobem działania ich Zakonu – wyznaczał im cele do zrealizowania. Sazic był ostrzem – on zajmował się prawdziwą brudną robotą i był w tym dobry. Clud zwerbował go i zajął się nim. Można było by powiedzieć, że nawet wyhodował. Wpajał mu wiedzę i uczył go jakoby to co robią było religią, by nie bał się zabijać w ich imieniu, że ten który go uratował to nie był Clud tylko Świadek Słowa. Manipulował nim oraz kierował jego życiem by jak najlepiej im służył. Warad, można by powiedzieć, że był nogami. Dbał o niewidzialność Zakonu, podrabiał księgi rachunkowe, trzymał ich zdala od problemów, retuszował tajemnicze śmierci, które były częścią zadań, czy zleceń. Był też jeden tajemniczy członek. Był ich uszami i oczami. Ze względów bezpieczeństwa nie znali jego imienia, czy nawet tego jak wygląda. Informator idealny – niewidzialny. Tylko tylu ludzi było w Zakonie. Zakon. Śmiesznie brzmi. Tak na prawdę to byli szajką ludzi którzy za pieniądze są w stanie zrobić każde zadanie. Zakon to była tylko przykrywka dla tego co robią. By ukryć ich zdolności.

W czasach młodości Clud i Dalear byli przyjaciółmi. To oni założyli obecny Zakon. Zdobyli moc? Raczej wiedzę, której nie powinien mieć nikt. Obydwoje pochodzili z bogatych

rodów. Dalear był arystokratą, a Clud kupcem. Pochodzili ze stolicy - Uthardu. Było to miasto, w którym częściej od bielizny zmieniał się król-bóg. Przez większość czasu dla nikogo nie miało to znaczenia. Do momentu gdy na Wieżę Goethel - pałac skąd rządzi król-bóg, wszedł Zyrth. Jedyne król-bóg, który utrzymał się na tronie i zniewolił miasto. Podporządkował sobie wszystko. Handel w mieście upadł i wybuchły zamieszki, w których większość arystokracji została zabita, a ich własność doszczętnie zniszczona. Powodem było to, że w parlamencie zasiadali ludzie, którzy nie powinni tam być. Byli zachłanni, leniwi i w złym momencie zapragnęli walczyć przeciwko sile, której nie było sposobu zatrzymać. Clud i Dalear uciekli z miasta. W trakcie ucieczki Clud stracił nogę - głębokie rany zadane zardzewiałymi widłami. Noga po dwóch bólu nie do zniesienia zaczynała gnić. Jedyne ratunek - amputacja.

On i Dalear rok po ucieczce i wypełnionej ciągłą tułaczką od wioski do wioski znaleźli się w miejscu, które na mapie znajdowało się pod literą "e" w nazwie krainy – Synthel, na samym dole mapy, zaraz obok wielkiej pustyni. Problemem było to, że wszędzie dokoła był suchy, piaszczysty teren, a na samym środku stał... dom. Mały i opuszczony, a dookoła nie było zupełnie nic. Z braku miejsca na lepsze schronienie weszli do środka. Pierwsze co ujrzeli to zapisana węglem cała ściana. Drobnymi literami wypisany tekst. Clud podszedł bliżej. On już od dzieciństwa był tym, który wpadał w kłopoty częściej od innych, ponieważ od zawsze był bardziej ciekawy wszystkiego od innych. Tak było i teraz. Kiedy Dalear stał jak wryty na progu domu, Clud już podszedł do ściany by rozszyfrować co jest tam napisane. Jedyne co zrozumiał i to co się powtarzało na ścianie w wielu miejscach to jedno słowo, a raczej imię: Kar'daal. Później odkrył też, że każda książka jest podpisana tym imieniem. Po chwili Dalear również się przemógł i ruszył do przodu, ale zatrzymał się przy starym, sprawiającym wrażenie, jakby się ledwo trzymał na nogach, stole. To co ujrzął zdziwiło go jeszcze bardziej od tego co widniało na ścianie. Na stole coś narysowano, ale było przykryte dużą ilością papierów i kilkoma zakurzonymi, opasłymi tomami. Przeniósł delikatnie papier, obok ułożył książki i spojrzał na stół. Kręgi. Linie. Znaki. Dużo niezrozumiałych znaków. Wszystko to było już nadgryzione zębem czasu. Mogło mieć z jeden cykl, lub więcej – pomyślał Dalear. Wszystko skupiało się do środka okręgów.

- Clud! Musisz to zobaczyć! – Krzyknął, mimo tego, że znajdowali się w jednym pomieszczeniu.

To nie była żadna magia czy coś w tym stylu, a tym bardziej religia. Sama nauka – alchemia. W domu zostali na dłuższy czas studiując notatki i próbując zrozumieć. Spędziliby na nauce długie tygodnie, gdyby nie to, że nie mieli zbyt wiele jedzenia i innych potrzebnych materiałów. Musieli porzucić naukę na jakiś czas. Udali się do najbliższego miasta i tam mieszkali przez prawie rok. Do badań powrócili, tym razem przygotowani i dobrze zaopatrzeni. To wtedy wymyślili wszystko to co funkcjonuje do dziś. Z odkrycia

naukowego stworzyli religię, by ukryć swoje odkrycie, a raczej, jak do tego doszli w późniejszych badaniach, odkrycie tajemniczego naukowca Kar'daala. Zrobili to ponieważ chcieli zatrzymać tę moc dla siebie. Ale to co odkryli miało też konsekwencje. Kar'daal tego doświadczył na swojej skórze. Z jego zapisków, zniszczonych i w nietypowych miejscach nadpalonych wynikało, że w tym miejscu istniała kiedyś całkiem spora wioska. Jak dowiedli później źle narysowane kręgi doprowadziły do tego, że natknęli się tylko na jeden dom, a nie na wioskę. Jakiś czas później odkryli coś co strasznie ich zaniepokoiło. Zapisek na kartce, która była wetknięta między strony jednej z książek, zapisana przez Kar'daal, prawdopodobnie w ostatnich chwilach jego życia. Zapisał to takimi słowami:

„Ten, który nadejdzie

Nie powinien nadejść

Jego imię znaczy Zyrth - upadek stolicy

Będzie wiedział, że nie powinien wiedzieć

Zabij ”

Kar'daal nie miał prawa znać Zyrtha w momencie kiedy on żył. Nie w tym znaczeniu. Żaden król-bóg nie nazywał się tak samo, ponieważ każdy zostawał nazwany liczbą, którym z kolei był. Zyrth oznaczał 438, a Kar'daal mógł tylko przypuszczać, że taki kiedyś nadejdzie.

Clud wstał zza biurka i wziął torbę. Czas dać Sazicowi prawdziwą misję. Nadszedł ten czas kiedy są gotowi, by zacząć działać. Trzeba sprawdzić czy król-bóg Uthardu – Zyrth jest dla nich zagrożeniem i czy na prawdę wie o alchemii. Misja miała polegać na dotarciu do stolicy, dostaniu się do pałacu Wieży Goethel Clud Zszedł na sam dół do piwnicy, która była dobrze oświetlona i zadbana. Zapach lekkiej starości tylko dodawał klimatu i tajemniczości temu miejscu. Po jednej stronie stały półki, gdzie ułożyli całą zdobytą wiedzę, znalezione księgi Kar'daala uzupełnione badaniami. Na drugiej ścianie wisiało całe mnóstwo broni z różnych zakątków świata, różnego kształtu. Od ostrych i krótkich ostrzy przypominających długie igły używanych przez pustynne ludy Quan, przez łamacze mieczy używanych na dalekim wschodzie po długie włócznio-podobne używane przez ich przodków. Clud kochał miecze dla samego ich wyglądu, a Warad dla ich poręczności i szybkości zabijania. To wszystko zdobyli po przez badania, w trakcie tułaczki po świecie zanim zaczęli badać dokonania Kar'daala. W trakcie poszukiwań informacji o nim znaleźli również coś w stylu pamiętnika, który zaczynał się słowami: *„Odkryłem coś pięknego i niszczycielskiego, moja wioska, a raczej jej brak, może udowodnić siłę mojego odkrycia”*. On w wyniku swoich badań pozbył się całej wioski i wszystkich mieszkańców. Nie popełnili tego błędu co on. Odkryli co było błędem i wymyślili lepsze kręgi, które tworzyły bariery – miejsca, z których krąg główny czerpał energię. Kar'daal tego nie zrobił i doprowadził do katastrofy. Alchemia była bardzo zachłanna. Trzeba było ją bardzo ograniczyć. Doprowadziła do upadku całej wioski w eksperymencie Kar'daala. Oni udoskonalili jego dzieło. Dodali bariery, udoskonalili

znaki, sprecyzowali to co chcieli uzyskać. On znał tylko około trzydziestu znaków Pradawnego Alfabetu – tak bowiem nazwali (na potrzeby „religii”) znaki. Obecnie znali ich około pięciuset. Każdy był skrupulatnie opisany, na osobnych stronach książ. Dalej nie pozwolili sobie na niedokładność. Był bardzo dokładnym człowiekiem. Niestety nie dowiedzieli się nic więcej o Ra’ath, niż sami wiedzieli. Jedyną nową dla nich informacją było to, że istnieli już w tamtych czasach. Byli to idealnie wyszkolone jednostki bojowe. Nie można ich nazwać ludźmi, chociaż tak wyglądali, ale wyróżniali się tym, że budową przypominali mężczyzn, byli łysi, na twarzy mieli tatuaże, które migotały gdy Ra’ath walczył. Pod szatą, na klatce piersiowej, mieli kryształ, z którego prawdopodobnie czerpali energię (prawdopodobnie, bo każda próba potwierdzenia tej teorii kończyła się śmiercią próbującego). Ra’ath są cholernie ciężcy do zabicia. Są na to w sumie tylko dwa sposoby. Było kilka sposobów, by ich zabić. Wszystkie piekielnie trudne:

1. Unieruchomić i jak najszybciej wyjąć klejnot (trzeba to zrobić bardzo szybko, bo skubany potrafił sobie wyłamać kończynę by się uwolnić)

2. Przebić czymś długim przez plecy, tak by wybić jednym ciosem klejnot z piersi (większe szanse na powodzenie przy ataku z zaskoczenia)

3. Odciąć wszystkie kończyny i uważając na zęby (uwaga – gryzie) wyciągnąć klejnot
Uciekać (Nie jest skutecznym sposobem, ani by zabić, ani by przetrwać, ale warto wspomnieć, że taka opcja też istnieje)

Zaczęli używać kręgów coraz częściej. Tak stworzyli sztylety Sazica, miecz, który nazwali „Mgłą”, dlatego że prawie w ogóle nie był widoczny. Warad przygarnął go od razu i nigdy potem się z nim nie rozstał i wiele innych potrzebnych rzeczy. Odkryli również coś co nazwali Przesyłem Wiadomości. Clud podszedł do specjalnie przygotowanego stołu z sześcioma kręgami i mnóstwem znaków wrytych w stole. Trzy z kręgów były barierami. Zamykały przepływ energii tylko w obszarze głównego kręgu. Znaki precyzowały działanie głównego kręgu. Pozostałe kręgi służyły jako miejsca do zapisania znaków które miały interpretować Słowo, bo to słowo faktycznie funkcjonowało i określały to co kręgi miały wykonać. Ten do którego podszedł Clud miał za zadanie przesłać wiadomość do Sazica. Ale wszystko miało cenę. Energia nie pochodziła przecież ze stołu. Mężczyzna położył papier w centrum kręgów, a po obu stronach oparł się rękami. Gdy tylko dotknął poczuł silne przyciąganie nie pozwalające oderwać rąk. Poczul jak traci siły. Nogi się pod nim ugięły. Poczul się słabszy. W głowie pojawił się obraz. Tym razem był to obraz małej wioski. Małej wioski, w której każdy dom płonął, a tu i ówdzie leżały na wpół spalone ciała. Tylko na wpół, dlatego że druga połowa każdego ciała leżała kilka metrów dalej. Wizja trwała bardzo krótko, ponieważ by przenieść tylko ten list nie trzeba było dużo energii. Taka była cena – energia

życiowa i wizja masakry z dawnych czasów. Jak do tej pory nie odkryli dlaczego alchemia im to pokazuje.

„Chłodna noc zmierzała ku końcowi” mógłby napisać jakiś marny kronikarz. Sazic nie lubił takiego rozdrabniania się nad trywialnymi rzeczami, które tego nie wymagały. Noc była zimna, a świat spowił się w jeszcze ciemniejszym mroku. To chwile przed świtem zawsze były najciemniejszą porą nocy. Korzystając z obecnej pory dnia, czy może jeszcze nocy (komu to oceniać. Sazic był prostym człowiekiem i nie za bardzo go to obchodziło) podszedł do drzwi i kucnął. Z fałd szaty wyciągnął zestaw wytrychów. Otwieranie drzwi nie zajęło mu długo z racji tego, że drzwi nie były zamknięte. Sazic wkroczył przez otwarte na szerokość jego bioder drzwi i podszedł od razu na poddasze, gdzie znajdowała się jego ofiara. Pomieszczenie oświetlało tylko kilka świec, a rzeźnik siedział przy stole i coś notował. Sazic ostatni raz wciągnął powietrze przez nos. Degustował się zapachem mięsa i krwi jaki roztaczał się w okół rzeźni na dole. Wyciągnął sztylety spod szaty i wygodnie ułożył je w rękach. Ostatni raz zlustrował pomieszczenie. Oprócz łóżka, kufra, krzesła i stołu, przy którym siedział Balhof, nie było nic co mogło by dawać jakąś większą przewagę. Sazic skoczył i jednym susem pokonał odległość dzielącą go od celu. Wyciągnął rękę przed siebie, błysnął sztylet, lecz nie zatopił się w szyi rzeźnika. Cios był idealnie wymierzony i Sazic stracił rytm, bo się nie spodziewał, że jego cios zostanie uniknięty. Rzeźnika uratowało... Kichnięcie, a gdy tylko zobaczył intruza odskoczył i chwycił za krzesło. Sazic nie pozwolił sobie na takie niedociągnięcie. Od razu skoczył do Balhofa i zamarkował uderzenie w twarz. Zawsze skuteczne, ponieważ ofiara odsłaniała tors, więc bez problemu mógł dotrzeć sztyletem do serca. No prawie zawsze. Jeżeli tylko ofiara nie ma w rękach krzesła. Rzeźnik rzucił w Sazica krzesłem. Cios nadszedł niespodziewanie i zabójca nie zdążył się uchylić. Uderzenie trafiło Sazica w prawą rękę wytrącając sztylet z ręki, który wyładował kilka kroków dalej z cichym brzękiem. Balhof wykorzystał zdziwienie oponenta i ruszył biegiem w kierunku drzwi. Sazic szybko się otrząsnął. Zadanie musi być wykonane. Przełożył drugi sztylet do prawej ręki i ruszył za rzeźnikiem, który już był na schodach. W kilku skokach był na dole w korytarzu, w którym zniknął jego cel, ale Balhofa nigdzie nie zauważył. Nie mógł tak po prostu zniknąć. Na plecach poczuł delikatny podmuch powietrza. Instynkty wzięły górę. Szybko przykucnął i wyciągnął wolną rękę nad głowę by zablokować cios, raczej to wszystko wykonało jego ciało, a on tylko obserwował. Udało mu się zablokować cios, który tylko wyczuł. W wyciągniętą rękę chwycił nadgarstek mężczyzny z nożem – rzeźnik. Cios miał nadejść z góry, co zdradzało, że Balhof nie umiał walczyć. Taki cios był łatwy do zablokowania, jak się też Sazicowi udało oraz odsłaniał napastnika, co Sazic również wykorzystał. Szybki cios ręką celowany w przerwę między trzecim, a czwartym żeblem, blisko mostka, nieco z prawej strony – serce. Cios dotarł celu, a to wszystko odbyło się

w śmiertelnej ciszy. Nacisk na lewą rękę zakonnika zmaleł, a nóż wypadł z ręki na podłogę z brzękiem, który to dopiero przerwał ciszę. Rzeźnik runął na podłogę, a szybko powiększająca się plama krwi barwiła jego koszulę i podłogę, wpływając w szczeliny między deskami. Sazic stanął nad trupem i wytarł zakrwawiony sztylet o jego koszulę. Zaczął sprzątać po sobie. Ruszył na górę po swoją zgubę. Będąc na górze zabrał swój sztylet i odłożył na miejsce krzesło. Zerknął przelotnie na to co rzeźnik zapisywał przed śmiercią. Rachunki, długi, jak dobrze, że Sazic mu się chociaż tak przysłużył – teraz Balhof nie będzie musiał się nimi przejmować. Już miał schodzić gdy usłyszał dobiegający z dołu wrzask. To zmieniło jego plany i poszerzyło jego misję o pozbycie się świadków. Znowu zeskoczył na dół. Ile już zdążył się dzisiaj naskakać. Zastał trzech uzbrojonych strażników i jednego Ra'ath. Co oni tu robili? Sam sobie z nimi nie poradzi. Pieśni bardów, w których ktoś poradził sobie z więcej niż dwoma ciężko uzbrojonymi strażnikami i Ra'ath w zamkniętym pomieszczeniu to były po prostu bajki. Sazic od razu odwrócił się i pognął z powrotem na górę, tam wybił szybę i wyskoczył przez okno

- Złapcie mordercę! – Krzyknął jeden ze strażników, a pozostała dwójka od razu pobiegła za Sazicem. Ra'ath bez słowa ruszył z pełną prędkością za zabójcą. Miał zamiar uprzedzić zabójcę i odciąć mu drogę ucieczki. Chwila głębszego skupienia, poczuł mrowienie na ręce. Teraz jego ręka była sztyletem zrobionym z kości. Pobiegł za róg budynku, gdzie spodziewał się zabójcy „wychodzącego” przez okno. Nie pomylił się. Morderca rzeźnika zeskoczył z okna na pierwszym piętrze, w odłamkach szkła na ulicę i się przeturlał, ale Ra'ath nie zwlekał i dopadł go w połowie przewrotu. Ciął przez pierś Sazica, który się tego nie spodziewał. Sazic poczuł ciepło rozlewające się na piersi i stracił tępo przewrotu co spowodowało, że położył się na wznak. Ra'ath tylko na to czekał. Kościanym sztyletem dotarł do szyi Sazica i kolanem zablokował jedną rękę prawie, że siadając mu na piersi. Tamten nawet nie miał czasu się obronić. W oddali było słychać tupot stóp strażników. Pierwszy, który podbiegł tylko powiedział

- Poddaj się. Już nie masz szans. – Sazic poczuł zrezygnowanie i rozpacz. Zawiódł. Nie wykonał misji do końca. Świadek Słowa będzie widział w nim tylko śmiecia. Ra'ath zszedł z niego i się odsunął, a strażnicy podnieśli go pod pachy, postawili na nogach i zaczęli popychać nadając kierunek marszu. W między czasie Ra'ath dokładnie go przeszukał zabierając mu jego cały majątek. Zabrał też jego sztylety. SZTYLETY! Jego najcenniejszy dar od Świadka Słowa zostaje od niego zabrany! Sazic zaczął się szarpać w ślepej furii, ale strażnicy byli silniejsi, a Ra'ath trafił go w szczękę uderzając na odlew ręką. Szli dalej, Ra'ath z jego dobytkiem nieco się wycofał i tak szli przez całe miasto. Razem ze wstającym słońcem na ulice zaczęli wychodzić ludzie. Nikt nawet nie uraczył Sazica spojrzeniem. Dla nich był to codzienny widok. Jeden ze strażników jakby wyczuł co chodzi Sazicowi w tym momencie po głowie i rzekł

- Nie martw się. Jeszcze się na ciebie napatrzą. Jak zawiśniesz. – Po czym popchnął mocniej. Sazic poczuł się strasznie mały. I taki mały Sazic szedł ulicami w kierunku mostu. Nie było jakiego mostu, tylko Mostu przez duże „M” – Wiszącego Mostu, gdzie przedrostek nie oznacza sposobu budowy. Powieszają go. Bez procesu, przyłapano go na gorącym uczynku. Do tego uciekał, więc podkreślało to jego winę. Już wolał zginąć w walce, niż zawisnąć, ale Ra’ath na to by nie pozwolił. Za dobry był na to by zabić przeciwnika, który mógł zostać rozrywką dla gawiedzi w całkiem ładny słoneczny dzień. Sazic przez całą drogę się trząsał i potykał, przez co strażnicy stracili cierpliwość i go lekko podnieśli, tak by nie mógł dotknąć ziemi. Przechodząc wzdłuż doków mijali marynarzy, którzy pakowali skrzynie na kupieckie statki, ruch był bardzo duży i nierzadko strażnicy musieli torować sobie drogę, by w ogóle przejść. Dotarli przed Most. Był to plac, a na środku stał drewniany, mały, kwadratowy budynek – cela, do której wrzucili Sazica. Tu miał czekać na południe na wykonanie kary. Śmierdziało strasznie odchodami i rzeczami pochodzenia, których nie chciał znać. Nie było żadnej ławki, czy krzesła. Światło wpadało tylko przez drobny otwór przy suficie i przez szczelinę między drzwiami, a framugą. Sazic położył się pod ścianą na przeciwko drzwi i zwinął się cicho w kulkę. Zapłakał.

Z otępienia wyrwał go dźwięk przekręcanych w zamku kluczy. Już od dawna nie płakał. Nie mógł sobie teraz na to pozwolić. Co pomyślałby o nim Świadek? Trzech, innych niż przedtem strażników, wgramoliło się do ciasnej celi. Ten co wszedł pierwszy rozwinął przed sobą list i przeczytał

- W imieniu króla-boga Asara zostajesz skazany na śmierć poprzez powieszenie. Powodem jest morderstwo. – Poczym odwrócił się do strażników po bokach i rzekł wyraźnie akcentując każde słowo – Wyprowadźcie tego plugawego syna. -

Strażnicy podeszli do Sazica, starając się przy tym nie zaciągać zbyt mocno powietrzem. Bez trudu go podnieśli. Nawet nie próbował się szarpać. Wiedział, że nie ma to sensu i tak nie było gdzie uciekać. Na placu pewnie kłębilo się od strażników, Ra’ath i zwykłych ludzi, którzy nie zrezygnowaliby z takiej rozrywki przed obiadem. Idąc przez plac Sazic starał się iść prosto, by wyglądać choć odrobinę dumniej. Jeden ze strażników tylko prychnął i powiedział

- Nie martw się. Zmięknieś. Wszyscy się rozklejają, a najgorzej jest gdy stają na podeście, czuć świeży wiatr, a oni nie wytrzymują napięcia... Wiatr już nie jest taki świeży... – Oczy Sazica na te słowa rozszerzyły się jeszcze bardziej. Jego nogi stały się jak z waty, a on sam poczuł kolejną falę rozpacz. Weszli na most. Dookoła pełno ludzi, którzy mimo swojej ilości byli zadziwiająco cicho, jednym z niewielu dźwięków jaki było słychać, oprócz szumu wiatru (o zgrozo świeży wiatr), było dudnienie ich kroków na moście. Zbliżyli się do połowy mostu. Gdyby Sazic nie był tak przestraszony i spojrzał by w prawo, ujrzałby

całe miasto oświetlone letnim słońcem i port, w którym kłębiły się statki najróżniejszych maści. Od najmniejszych kipów i kutrów rybackich, po olbrzymie karawele, czy galeony. Był to naprawdę piękny widok, a on zawiśnie mając go przed oczami do ostatnich chwil życia. Ale czy go doceni? Sazic razem ze strażnikami dotarli do najwyższego punktu Mostu. Tam czekał przygotowany podest, wokół którego kłębili się strażnicy. Pomimo tego, że często wykonywano kary śmierci w tym mieście (król-bóg Asar był bardzo surowy) każdemu wieszaniu towarzyszyła cała uroczystość. Zatrzymali się przed podestem. Kat odziany cały w stój który wyglądał jak jutowy worek stanął obok Sazica. Przed tłumem stanął ten sam osobnik, który wszedł jako pierwszy do celi Sazica i zaczął czytać

- Z rozkazu króla-boga Asara nakazuje się stracić oskarżonego o morderstwo w celu zapobiegnięciu dalszym występkom. Jeżeli ktoś czuje się współwinny tego co zaszło ma natychmiast wystąpić, zostanie również natychmiastowo stracony. – Sazic na te słowa odzyskał chwilowo panowanie nad sobą i zdążył wymruczeć

- Czuję się zagrany tą mową, by wystąpić przed nich wszystkich i przyznać się jeszcze raz, bo to było coś pięknego. – Najbliżej niego stojący strażnik tylko popatrzył na niego z politowaniem. Nikt z tłumu nie wystąpił (ciekawe dlaczego), więc bez przeciągania wciągnęli Sazica na platformę ponad balustradą mostu, wzdłuż której wisiały ciała w różnym stadium rozkładu. Ustawiono go na samej krawędzi. Kat zaczął przywiązywać linę do balustrady. Zaraz założą mu ją na szyję i zepchną w przepaść, a w połowie drogi zatrzyma się na linie z połamanymi kręgami szyjnymi i (o ile nie straci przy tym głowy) będzie tak wisiał dopóki nie zjedzą go ptaki, albo w wyniku rozkładu (o ile wcześniej nie spadł) wpadnie do wody. Kat podszedł z liną zakończoną pętlą do Sazica, który coraz bardziej się trząsł. Poczł rozlewające się ciepło po prawej nodze. Zapłakał. Zapragnął, by oszczędzili mu tego wstydu. Gdy tylko spróbował zamknąć oczy pojawił się błysk. Na platformie obok zaczął pojawiać się w tym błysku krąg. Najpierw jeden duży potem drugi mniejszy. Sazic poczuł się jakby ktoś wrzucił go do gorącej lawy, potem wyciągnął i chlusał lodową wodą. To był Znak! Znak Świadka Słowa! Nie porzucił go! Sazic jeszcze będzie mógł mu służyć Wszyscy westchnęli głośno, jakieś dziecko zaczęło płakać. Ludzie bliżej zaczęli krzyczeć i uciekać. Kat, który stał najbliżej tak się wystraszył, że odskoczył w bok popychając przy tym Sazica, który spadł. Spadał jeszcze chwilę, w kącie oka pojawiła się kolejna ła, tym razem nie z rozpacz, tylko z wdzięczności. Kar'daal i Świadek Słowa nie porzucili go.